



# GDZIE JEDYNYM ŚLADEM CZŁOWIEKA JEST ŚMIERĆ...

(CZĘŚĆ TRZECIA)

Wśród budowniczych rozstawionej przez Juliusza Verne'a „Latarni na końcu świata” było dziesięciu więźniów. Zbudowawszy co trzeba, niejako automatycznie stali się pni „załączkiem” więzienia. Najpierw wojskowego, potem już regularnego - rządowego. Klimat, skały, bagna, nie przebyte gąszcze. Wokół zamiast murów szalejące morze. Na więzienie wyspa nadawała się jak chyba żadna...

Andrzej Radomiński

I to był kolejny sposób, który na ujarznienie tej opornej, krnąbrnej wyspy wymyślił przedsiębiorczy biały człowiek. Sądzić by można, tym razem skuteczny...

Zabezpieczywszy dobrze ponton przed falami przyływu ruszamy w busz na poszukiwania śladów zabudowań. Do latarni, jak wiemy ze starych raportów, wyszperanych w archiwach i muzeum, wiodła nie, gdyż od brzegu droga z pni i kamieni, zbudowana przez „pensjonariuszy” tutejszego więzienia... Niestety nie udało nam się dotrzeć do żadnych map ani planów z tamtego

okresu. Położenie szczątków latarni znamy ze współczesnej mapy morskiej. Jest gdzieś tam na wzgórzu, na północny zachód od nas, trzy lub cztery mile...

Jedyną możliwością dotarcia do jej ruin jest opłynięcie pontonem groźnego przylądka Lassere, a więc wyjście na nie osłonięte wody i podjęcie prób desantu od strony pełnego morza. Kiedyś istniały tu ponoć wyrąbane w skale stopnie na szczyt wzgórza. Jeśli sztorm pozwoli... To ostatnia dla nas szansa, więc podejmujemy próbę. Do ataku rusza „grupa szczytowa” - tylko pięć absolut-

nie niezbędnych osób. Gato, Carlos i nasza trzyosobowa ekipa z dwoma kamerami. Ubieramy się w specjalne kombinezony typu „survival”. Stworzono je dla rozbitków na arktycznych zimnych morzach. Nie tylko utrzymują nawet nieprzytomnego człowieka na wodzie, lecz co równie ważne są izotermiczne, zapobiegając śmiertelnemu wychłodzeniu ciała w wodzie. Nawet gdyby sztorm wyrzucił dinghy marną szansę przetrwać. Płynąc ku wyjściu z zatoki, po lewej stronie mamy wysoki skalisty cypel. Strome poszarpane skały wznoszą się pionowo z wody. Fala



coraz większa. Z hukiem wali w zboczce. Wzbija wściekłe bryzgi. Wiatr porywa pianę. I nagle, gdy wychodzimy spoza kolejnego załomu... Widzimy ją! To ten krzyż, tam na szczycie wzgórze!!! Fale zalewają oczy. Wiatr zapiera dech. Robimy jednak kilka ujęć i klitek specjalnie obudowanymi kamerami. Bardziej strzelając na ślepo niż świadomie kadrując. Z miotającego się na falach pontonu, ze względu na odległość i niezbędną długość ogniskowej, ciężko jest w ogóle „wcelować” kamerą... O podejściu do brzegu przy

tej pogodzie nawet nie ma co marzyć. To już groziłoby nie wywrotką pontonu, ale roztrzaskaniem nas o skalne ściany. Będzie dobrze jeśli, uda nam się wrócić!

Wyspa znów zakpiła sobie z ludzi. Jakby ku uciechu swych jedynych prawowitych mieszkańców - fok i lwów morskich, których całe stado beztrudnie baraszkuje wśród przyboju wyraźnie się z nas naśmiewały. Nad ranem sztorm osłabł nieco i dowodzący okrętem kapitan Pablo Mazzoni decyduje się na opuszczenie naszego schronienia. Stan morza 7 do

8° Beauforta uważa się tu za znośne warunki żeglugi. Idziemy do Puerto Cook, jakby śladami „naszego” więzienia. O brzasku mijamy przylądek Forneaux. Przez wieki schronienie i jakże ztudną nieraz nadzieję dla załóg pochłoniętych przez wyspę żaglowców. Często nawiedzany przez piratów, dla cudem ocalonych z kipieli rozbitków stawał się wówczas śmiertelną pułapką...

Wejście do zatoki otwiera się przed nami raptem, niespodzianie. W dodatku tuż obok podstępnie zaprasza, gościnnie otwarta „przyjazna” zatoka, w której zamiast osłony przed sztormem i falą, czekają na nieszczęsnych skryte w toni skały... Wiele tu na mapie zatok w których nazwie słowo „Falsa” ma prawdziwe znaczenie..

Wejście do prawdziwej zatoki jest tak wąskie, że po obu burtach okrętu do skał pozostaje dosłownie kilka, najwyżej kilkanaście metrów! Ale właśnie ono tak skutecznie zamyka zatokę. Jak doskonały falochron, wraz ze stromymi szczytami osłaniającymi wody fiordu tworząc tu wspaniałą naturalną przystań. Bezpieczną dziś nie tylko zresztą dla okrętów... W ostatnich latach Isla de los Estados, właśnie dzięki takim zacisznym zatokom stała się już osta-





tnim niemal miejscem w argentyńskiej Fuegii, gdzie pingwiny zakładają swe gniazda lęgowe...

Tylko tutaj, ciągle jeszcze czują się bezpieczne, i właśnie tu w 1902 roku przeniesiono „nasze” więzienie z zatoki San Juan de Salvamento. Już wtedy wysoko oceniono bezpieczeństwo tej zatoki. Rękoma więźniów, nieugięci „pionierzy cywilizacji” wzniesli solidne budowle z kamienia. Także nie na długo! W cztery lata później znów z „humanitarnych względów” przenoszą więzienie. Tym razem do Ushuaia, bowiem strażnicy odmawiali ponoć służby na tej wyspie. Ale podczas operacji ewakuacyjnej, dla niektórych skazańców uchyliły się wrota wolności. Podczas wznieconej rewolty 51 więźniów podjęło próbę ucieczki. Niestety, nie udało im się opanować łodzi. Wyspa okazała się być bezwzględny strażnikiem. Wyłapano wszystkich, którym udało się przeżyć samotną walkę z przyrodą... Nie było ich wielu. Ekspedycjom pościgowym zajęło to jednak rok z okładem...

Wąskim, liczącym gdzieś około mili, przesmykiem lądu przedzieramy się ku południowym brzegom wyspy, i znów najtrwalszym świadectwem obecności człowieka na tej wyspie

okazuje się śmierć. Gdzieś w połowie drogi, znowu stare krzyże. Spoczywają tu ponoć szczątki rozbitków ze statku *ANNA DEL GENOVA*, który w 1885 roku roztrzaskał się na skałach u wejścia do zatoki. Chciał skryć się przed sztormem. Leżą tu też i ci spośród zbiegłych skazańców, których nie schwytano żywcem...

Zatoka Vancouver. Już po południowej stronie. Drapieżny wysoki klif. Wysmagane wiecznym zachodnim sztormem pionowe ściany skał. Nie ma zieleni. Tu nie utrzymałoby się ni nasiono, ni korzeń, ni drzewo. Wyniosłe filary i wieże szarorudych skał od tysiącleci toczą tu śmiertelne boje z Oceanem. Jak w początkach czasu...

Gdzie walczą żywioły nic nie ujdzie z życiem. To tutaj w głębi zatoki, na plaży, odnaleziono niegdyś szczątki statku z wrytym napisem... *statek zatonął w Cieśninie La Maire 27 grudnia 1891 roku nazwa CROWN OF ITALY. Załoga udała się do San Juan de Salvamento 27 stycznia 1892. Módlcie się za nas.* Inskrypcję odnaleziono dopiero w latach trzydziestych... Ale z raportów stacji wiemy, że choć śmierć zagładzała im w oczy, jednak dotarli! Wszystkim udało się przeżyć. Z ty-

mi ludźmi czuliśmy się szczególnie związani. Wrak ich statku odnaleźliśmy bowiem w naszej poprzedniej wyprawie...

\*\*\*

Wchodzimy do najgłębszego z fiordów- Puerto Parra. Szerokość lustra wody w najwyższym miejscu, niewiele przekracza wymiary okrętu. Przy złej widoczności, podwodnych skałach i zdradliwych prądach, manewrowanie sporym dozorcem wymaga nadludzkiej wprost perfekcji... Bardzo, bardzo wolno, wolniusięko statek prześlizguje się między skałami. Patrzę i nie wierzę oczom. Od burty do skał jest trzy, no góra cztery metry z każdej strony... Odnoszę wrażenie że to właśnie tu powstała biblijna historia z wielbłądem i igielnym uchem... W głębi fiordu na skrawku kamienistej plaży, argentyńska Marynarka Wojenna utrzymuje bazę łączności radiowej i stację meteorologiczną. Oddziały po pięciu marines trzymają tu 40-dniowe wachty. Dłużej nie pozwala regulamin... Oficjalnie, obok obserwacji meteorologicznych, niezbędnych dla bezpieczeństwa żeglugi, prowadzą stały nasłuch radiowy na częstotliwościach „emergency”. W każdej chwili gotowi są iść na ratunek, lub wezwać po-



moc z Bazy w Bueno Succeso. To jedyni ludzie przebywający dziś na wyspie. Nasz okręt przywiózł im zapatrzenie i wymieni także część oddziału. Postanawiamy wspiąć się na najwyższy z okolicznych szczytów, by sfilmować z góry panoramę i dziki krajobraz wyspy. Prowadzi nas jeden z komandosów i... psy - specjalnie szkolone do wyszukiwania bezpiecznej drogi wśród stromych i śliskich skał.

Wysokość osmiuset metrów, dla alpinistów nie jest może zbyt imponująca, ale pochylenie stoku przekracza 60 stopni. Dodatkowej pikanterii dodaje tej wspinaczce fakt, iż wiecznie mokre, wręcz ociekające wodą skały porośnięte są warstwą zmurzałych i gnijących mchów... Dla butów wspinacza są tym... czym smar dla łożyska! Nie czynią zresztą różnic dla żadnej profesji. Botanik spada tu tak samo jak fotograf, a fotograf jak reporter, czy operator filmowy...

Busz ciągnie się do jakichś trzystu czy czterystu metrów nad poziomem morza. Jeszcze wyżej, trzyma się skał płożąca brzoza, berberys czy

kalafate, nieco traw przechodzi we mchy i porosty. Tylko w zagłębieniach, rozpadlinach, szparach osłoniętych od wiatru rośnie gdzieś tam coś wyższego od mchu... Potem goła, wysmagana wiatrem skała.

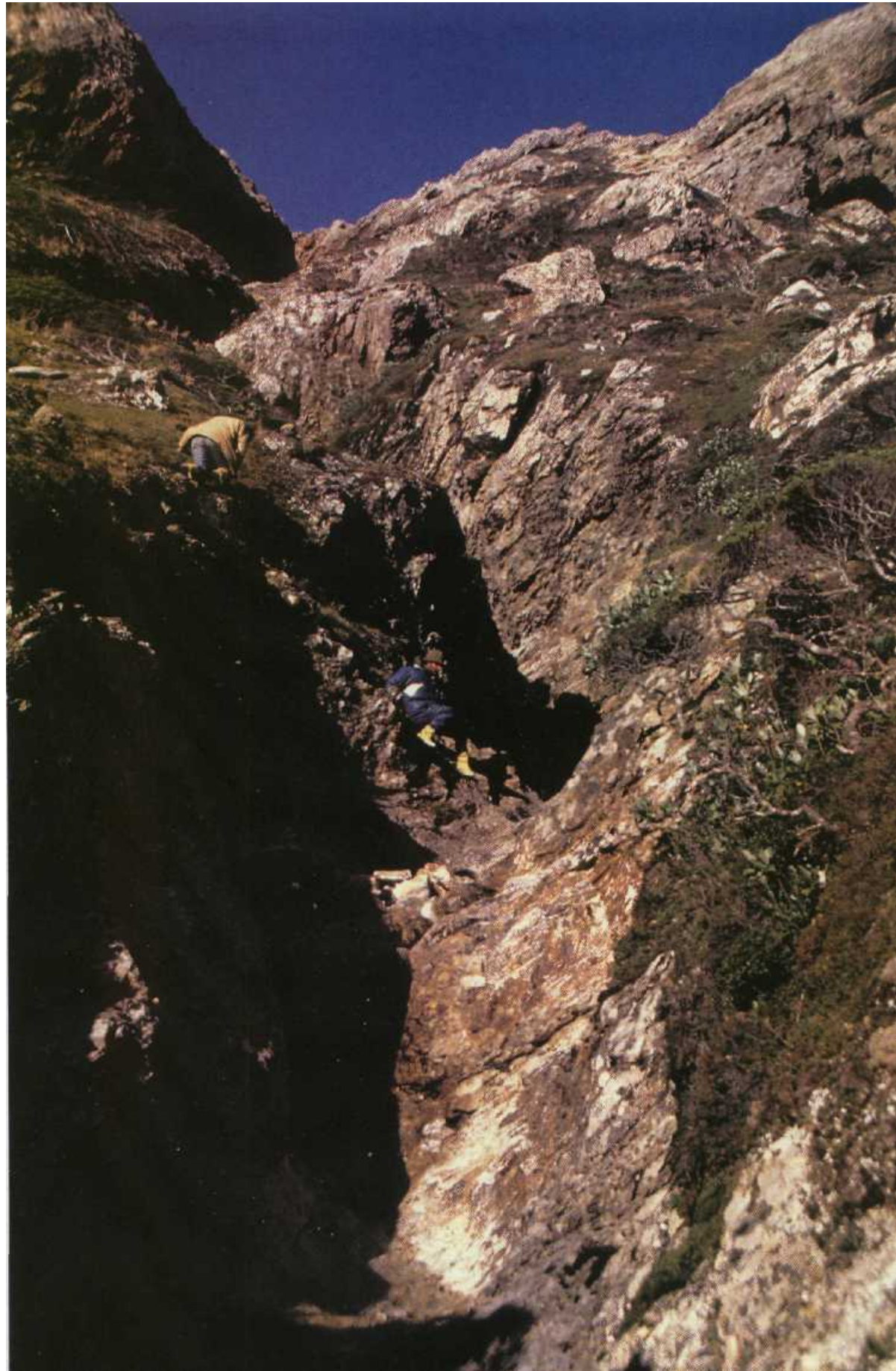
Jakieś dwieście metrów niżej szczytu rozległa kotlinka. Osłonięta od zachodu granią okala przepiękną barwy szmaragdowe oczko czy jezioro z krystaliczną słodką wodą. Zwykle tonie w chmurach, które tu kotwiczą. Dziś, specjalnie dla nas, sztorm wysprzątał niebo...

U schyłku ubiegłego wieku, gdzieś, pewnie tędy, wśród tych dzikich grani, przedzierał się samotny, ścigany skazaniec. Jedyń, któremu udało się zbiec z Salvamento... Nazywał się... Iwanowski! Tutejsza legenda głosi, że był Finem lub Polakiem! Zbiegłym z carskiej zsyłki. Na tę wyspę trafił wraz z pierwszym transportem. Tym w 1884 roku. Uciekał trzy razy. W końcu wymknął się pogoniom. W ponad pół roku po ostatnim zrywie znaleziono go martwego właśnie w tej zatoce. Całe mile od więzienia. Umarł z głodu przy gotowej

niemal łożdzi... Głód wolności był silniejszy niż wola przeżycia. Pochowano go w tej łożdzi tuż przy brzegu otwartego morza. A przyroda wyspy, jakby w zмовie z niepokornym zbiegiem, pochłonięta wkrótce wszelki ślad mogiły. Tym razem Iwanowski wymknął się ludziom na zawsze.

Niespotykana w tym rejonie słoneczna pogoda nadal utrzymuje się. Zawdzięczamy to północno-wschodnim sztormom, które będąc tym razem silniejsze spychają w „dół mapy” etatowe tu, tubylcze south-westowe nize. Kolejne lądowanie planujemy więc w zachodniej części wyspy, w zatoce Crossley'a. Mimo nowoczesnych urządzeń nawigacyjnych okrętu, kapitan bacznie analizuje sytuację na mapie i stale weryfikuje naszą pozycję. „Radio” nieustannie odbiera rnapy pogody... Zbliżamy się do cieszącej się ponurą stawą cieśniny La Maire. To tu właśnie słynne „tormientas” - niewiarygodnie silne wiry podwodne i do dziś nieznanne dobrze prądy, o prędkościach i dziesięciu węzłów, roztrzaskują statki o podwodne ska-









ły W odwiecznej zмовie z Wyspą czyhają na najmniejszy błąd nawigatorów... Nawet przy tak rzadkiej tu, słonecznej pogodzie wody te potrafią wciąż być nader groźne

W XVIII i XIX wieku w rejonie Wyspy tonęło średnio 8 do 9 statków rocznie... A i dziś wystarczy wspomnieć choćby tylko te trzy katastrofy, z którymi my zetknęliśmy się niemal bezpośrednio... A te z lat poprzednich?!

Nieokiełznana wyspa uparcie broni się przed człowiekiem. Ślady tej zjadłej walki widać gołym okiem. Ale też i obok wraków, szafasów rozbitków, więzień, grobów, wypalonych słońcem kości, można tutaj znaleźć ślady innych ludzi. W Bahia Crossley właśnie, znaleźliśmy też wiele przedmiotów należących do wymarłej, zapomnianej już kultury koczowniców morskich - Indian z plemienia Yamana. Od kilku tysięcy lat, przyplływali tu z innych wysp Ziemi Ognistej. W swych małych, zbudowanych z kory, żeglowali ku wybrzeżom tej strasznej dla euro-

pejczyków wyspy. Po drodze, jakby mimochodem, pokonywali groźną cieśninę La Maire... A zwali tę wyspę zupełnie inaczej. „Chuanisin” - w ich języku to kraj obfitości... Dla nich Wyspa nie była więc wroga... Godząc się z prawami wszechwiecznej przy-

rody potrafili ugodzić się z nimi, czerpać z jej zasobów... Szanowali rządzące tu światem Żywioty. I natura nie była im wrogiem. Nie walczyli z nią... Nie ujarzmiali... Całkiem odwrotnie niż my, Biali Ludzie...

Fot Andrzej Radomiński

